



TYPY LUDOWE.





El. Berezowska.

## ANTONI ANDRZEJOWSKI.

Wakacje zeszłoroczne spędziłam na Ukrainie w okolicach Stawiszcz w pow. taraszczańskim. Wiedząc, że w tej miejscowości zakończył życie Andrzejowski, postanowiłam dotrzeć do jego grobowca. Odnaleźliśmy go, błądząc dość długo po starem cmentarzystku.

Jest to jedna z tych zapomnianych mogił, o których latach nie wspomniał nikt. Dowodziły tego bujnie rozrośnięte krzewy i drzewa dokoła, które całkowicie osłoniły pomnik.

Wzięliśmy się do pracy — padaly liczne, z wielką energią łamane gałęzie, aż nareszcie padły promienie słońca na tablicę i z dziwnym jakimś wzruszeniem odczytaliśmy słowa napisu:

Antonius Andrzeievski  
professor emerit  
natus 1785 anno  
obiit 1868 anno  
Die 12 Decembris  
Requiescat in pace.

\*

Z biegiem czasu i z postępem nauki wzrasta coraz bardziej ruch, skierowany ku poznaniu kraju. Coraz więcej ludzi oddaje tej sprawie swoje siły i pracę.

Ale często, idąc naprzód, zapominamy o tych, którzy tę drogę rozpoczynali. Ich praca trudniejsza była, bo nie mieli poza sobą doświadczenia przeszłych pokoleń. Torowali drogę sami.

Takim Nestorem w badaniu ziem polskich — obok Staszica — był Antoni Andrzejowski.

Urodzony 1785 r. w Walkowicach na Wołyniu, tam spędził pierwsze lata dzieciństwa. Ojciec jego był kasyerem filii banku Prota Potockiego.

Młodość Andrzejowskiego przypada na lata odrodzenia myśli polskiej w epoce sta-

niślawowskiej, na lata ogólnego dążenia ku podniesieniu oświaty i rozwoju sił narodu.

W Korcu pobiera Andrzejowski pierwsze nauki od Skoczковского. Później korzysta z nauk Fr. Szopowicza, prof. krakowskiego, który przenosi się na Wołyń po zawieszeniu Akademii. Szopowicz celował w dziale nauk przyrodniczych i matematycznych. Jemu zawdzięcza Andrzejowski pierwsze zasady botaniki, a łatwy sposób wykładu zachęcał ogromnie chłopca do nauki.

Parę lat spędza Andrzejowski w szkole międzyrzeckiej; po śmierci ojca daje mu opiekę Aleksander hr. Chodkiewicz, prawdziwy mecenas polski początku XIX w. — i zabiera go ze sobą do Wilna.

Wielką miał ochotę Andrzejowski oddać się w dalszym ciągu nauce, ale Chodkiewicz inaczej pokierował jego losem: zostało postanowione, że się poświęci malarstwu. Umieszczono więc Andrzejowskiego u słynnego malarza Oleszkiewicza.

Chłopiec nie chce jednak rezygnować ze swych marzeń: „wyprosiłem sobie u p. Śniadeckiego (Jędrzeja) pozwolenie bywania na jego lekcjach chemii. Przedstawił mnie ks. Jundziłłowi, od którego otrzymałem pozwolenie uczęszczania na lekcje zoologii i botaniki”. Bywał prócz tego na wykładach anatomii pr. Lobenweina.

Lekcje rysunku, choć miał Andrzejowski pewne zdolności, szły mu „dość opieszale” — była to praca z musu. Całą duszą, jeszcze bardzo młodzieńczą, szedł ku nauce, która go pociągała, i w niej szukał dróg do nowych, nieznanych światów.

Na nauczycieli narzekać nie mógł. Przywiązał się całym sercem do ludzi, którzy z takim oddaniem szli do młodzieży, a był wtedy uniwersytet wileński w świetnej epoce swego rozwoju.

„Pod szczęśliwym darem zajmującego tłumaczenia się w suchej nawet nauce ter-



minologii botanicznej i w wymownym wykładzie systematyki Linneusza, jaki mieliśmy w ks. Jundzille — pisze Andrzejowski — można było wiele się nauczyć“.

Wkrótce tyle skorzystał i takie zrobił postępy, że pomagał wielu starszym od niego uczniom w determinowaniu roślin.

W 1805 roku dzięki pełnej energii działalności Czackiego powstaje gimnazjum w Krzemieńcu. Dostaje się doń i Andrzejowski, a nie mając zapewnionych środków do życia, utrzymuje się z lekcji rysunku.

Atoli zapał do nauki nie ostygł. Botanika pozostawała ulubionym jego przedmiotem. Wykładał ją w Krzemieńcu Scheidt, którego czasem zastępował Jaworski. Z tym ostatnim odbywa Andrzejowski pierwsze wycieczki naukowe.

Marzenie o poznawaniu nowych okolic nie opuszcza go odtąd, i gdy w 1808 r. dostaje kondycję na Podolu, nie traci czasu — i tam bada florę.

W 1809 r., gdy na profesora nauk przyrodniczych Czacki powołuje do Krzemieńca Bessera, Andrzejowski zostaje jego asystentem i z całą gorliwością oddaje się nauce. Kosztem obywateli w 1816 r. odbywa Andrzejowski dalszą wycieczkę krajoznawczą: zwiedza Podole, Pobereże, Tarnopolszczyznę i część Ukrainy.

Będąc w Warszawie, miał już poza sobą liczne rezultaty swoich prac; przedstawił Staszicowi uzyskuje pozwolenie bywania na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół nauk, które obiera go swym członkiem.

Po powrocie do Krzemieńca dostaje Andrzejowski od liceum zapomogę na dalsze wycieczki po kraju. Bada stopy czarnomorskie i Ukrainę. Następnie udaje się wzdłuż Dniepru, poznaje porohy, zwiedza brzegi Dniestru, Bohu i dociera do morza Czarnego.

Wycieczki te odbywał Andrzejowski

zawsze ogromnie systematycznie, gruntownie, z wielkim oddaniem się, kładąc w nie bardzo wiele pracy. Sprawozdania odsyłał zwykle do uniwersytetu wileńskiego. Jak na owe

czasy były to prawdziwe, bogate skarby, dla nauki cenne i dzisiaj.

W 1829 r. uniwersytet wileński powierza badania krajoznawcze kresów profesorowi Eichwaldowi, który, przejeżdżając przez Krzemieniec, powołał do wspólnej wycieczki i Andrzejowskiego. Niestety, stosunki, jakie się wytworzyły pomiędzy Andrzejowskim i Eichwaldem, były przykre: Eichwald nie tylko skorzystał z poprzednich prac Andrzejowskiego, jako pierwszorzędnego znawcy fizyografii kresów, ale i cały plan wycieczki ułożył



ANTONI ANDRZEJOWSKI.

według jego wskazówek.

Nie dość na tem — i później w swoich „Naturhistorische Skizze“ zarzuca Eichwald Andrzejowskiemu, że ten przejął jego badania i ogłosił jako własne prace.

Miał wtedy Andrzejowski i inne przykrości, bo Eichwald zatrzymał dla siebie większą część sumy, danej przez uniwersytet dla towarzyszy jego na kosztą podróży.

Dla uregulowania tych spraw jeździł Andrzejowski potem sam do Wilna, ale nic mu się nie udało wywalczyć w sporze z powagą Eichwalda, który jako obca siła naukowa znajdował poparcie w partyi profesorów-cudzoziemców.

Po 1851 r. następuje smutna dla oświaty i kultury polskiej data zamknięcia uniwersytetu w Wilnie i szkoły krzemienieckiej. Z funduszków i zakładów liceum utworzono uniwersytet w Kijowie, do którego wraz z innymi krzemieńczanami powołano i Andrzejowskiego na profesora zoologii i botaniki, które musiał wykładać po rosyjsku.

W swoich „Ramtach Starego Detiuka“ (taki był rodzinny jego przydomek) — wiele miejsca poświęca Andrzejowski wspomnieniu o liceum. Trzeba to przeczytać, żeby



## Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



STAWY W ZŁOTYM POTOKU, POW. CZĘSTOCHOWSKI.

fol. ze zb. Pol. Tow. Kr.

odczuć całą serdeczność stosunku, głębokiego uznania i wdzięczności Andrzejowskiego, ucznia, dla ludzi, którzy tak rozumnie umieli odczuć potrzebę życia i wprowadzili w czyn konieczne zasady wykształcenia, kierowania duszą młodych.

W 1839 r. przenoszą Andrzejowskiego do liceum w Nieżynie, gdzie zostaje profesorem nauk przyrodniczych. W 1841 roku kończy działalność pedagogiczną, o której powiedzieć można, że Andrzejowski umiał wyklądać i był dobrym profesorem.

Ostatnie lata spędza w majątkach obywateli na Podolu i Ukrainie; pomaga w zakładaniu i urządzaniu ogrodów.

„Był to podówczas starzec lat sześćdziesięciu kilku — pisze Kremer — silnie zbudowany, miernego wzrostu, łysy, rudo zarastający, oczu siwych, bardzo ruchliwy i roztertagniony, z zapalem niemal młodzieńczym, oddany zawsze badaniom przyrodniczym“.

Najdłużej przebył na Ukrainie w Stawiszczach u Aleksandra hr. Branickiego. W założonym przez siebie ogrodzie hoduje i bada rośliny dziko rosnące. Wykańcza tu swoją pracę „Flora Ukrainy“. Do ostatniej chwili pożyteczny krajowi — umiera 12 grudnia 1768 roku.

Obok dokładnego zbadania pod względem fizyograficznym Rusi i pobrzeży Czarnego morza wielką zasługą Andrzejowskiego jest dokładne zbadanie rodziny krzyżowych z obszernym uwzględnieniem morfologii, zaniebanej przez następców Linneusza. Wcielił to badanie do swo-

ich dzieł uczony Decandolle i nie szczędził pochwał Andrzejowskiemu, nazywając go: „*cruciferarum indagator solertissimus*“.

Zostawił Andrzejowski kilkanaście dzieł, streszczających w sobie rezultaty jego badań:

1) Rys botaniczny krain, zwiedzonych w podróżach pomiędzy Bohem i Dniestrem od Zbrucza do morza Czarnego, odbytych w latach: 1814, 16, 18, 22.

2) *Coquilles fossiles* do Volhynie et de Podolie.

3) *Czackia*, genre déterminé et décrit. Jest to praca o roślinie odnalezionej i określonej poraz pierwszy przez Andrzejowskiego, nazwanej imieniem uwielbianego człowieka. Wśród wielu innych poważną bardzo pracą Andrzejowskiego jest „Flora Ukrainy“. Skłoniło go do niej ogólnie uznana w nauce potrzeba klucza do oznaczania roślin krajowych, bo nie wystarczały istniejące dotąd Kluka „*Dykcyonaryusz roślin*“ (XVIII w.) i Jundzilla „*Opisanie roślin*“ (1798 r.).

Doszła nas tylko pierwsza część „Flory Ukrainy“ z podaniem rodzajów. Następna część, o której wspomina sam Andrzejowski w przedmowie do pierwszego tomu z wyszczególnieniem bardzo dokładnym gatunków „systematem naturalnym Decandolle’a“, — za-



ginęła. Może się znajduje jeszcze egzemplarz w bibliotece Branickich. Współcześni musieli jednak znać i tę pracę; wielu przyrodników, którzy prowadzili badania po An-

drzejowskim, musiało czerpać z niej wiadomości, które wcielali do swoich prac. Ale pamięć o tym wybitnie zasłużonym człowieku — powoli się zaciera.



S. Matusiak.

## BOŻYC I BOŻAK.

W Bogurodzicy, tem starodawnem naszym *carmen patrium*, znajdujemy, jak wiadomo, zamiast wyrażenia „Syn Boży“ wyraz „Bożyc“:

Twego dzieła krzyżowa dla, Bożycze,  
Usłysz głosy, napeln' myśli człowiecze<sup>1)</sup>.

I nic w tem dziwnego, boć skoro w czasach, z których pochodzi Bogurodzica, mówiono „starościc“ zamiast „syn starosty“, „wojewodzie“ zam. „syn wojewody“, „kasztelanice“ zam. „syn kasztelana“, „podczaszyc“ zam. „syn podczaszego“, „Staszyc“ zam. „syn Stacha“ i t. d., toć i forma „Bożyc“ zamiast wyrażenia „Syn Boży“ była nieuniknioną koniecznością. Długo zresztą jeszcze po zaprowadzeniu chrześcijaństwa mogli tkwić w pamięci naszych przodków różni bożycze z czasów pogańskich, więc forma taka tem naturalniejszą się wydawała. Razić mogła tylko chrześcijan, już znacznie uduchownionych i mniej po ziemsku pojmujących niebieskie stosunki; jakoż rzeczywiście raziła z czasem naszych przodków, skoro ostatecznie zamarła, ale początkowo jako objaw naturalny powstała i przez dłuższy czas w ustach narodu żyła, aż się i do Bogurodzicy na wieczną rzeczy pamiętkę dostała.

<sup>1)</sup> W dzisiejszej polszczyźnie brzmiałoby to: „Dla Twego dzieła krzyżowego, Bożycu, Usłysz“ i t. d. Jak od kupiec mamy jeszcze dzisiaj kupce, tak od Bożyc, starościc, wojewodzie i t. d. mieliśmy niegdyś: Bożycze, starościcze, wojewodzicze zamiast: Bożycu, starościcu, wojewodzicu.

A tak samo, jak nasi przesławni przodkowie, wyrażali się o Synu Bożym i inni Słowianie. Więc „Bożyc“ zamiast „Syn Boży“ jest i w staroczeszczyźnie, a bardzo żywa pamięć tego faktu przechowała się do tej chwili u Słowian południowych w nazwie świąt Bożego Narodzenia, które, jak wiadomo, u Słowenów zowią się Bożicz, a u Chorwatów i Serbów Bożić, wyrazem tedy, który jest identyczny z naszym „Bożyc“. Zamiast dłuższych zwrotów, jak: „nastają święta Bożycza“, „już po świętach Bożycza“, „od świąt Bożycza“ i t. p., poczęto używać krótszych, jak: „nastaje Bożyc“, „już po „Bożycu“, „od Bożycza“, podobnie jak u nas zamiast dłuższych zwrotów, jak: „nadchodzi święta Bożego Narodzenia“, „zbliża się dzień Gromnicznej“, „niedaleko do święta Zielnej“, „na dzień św. Marcina“ i t. p. używa się zwyczajnie krótszych, jak: „nadchodzi Boże Narodzenie“, „zbliża się Gromniczna“, „niedaleko do Zielnej“, „na św. Marcin“. W ten sposób „Bożyc“, dosłownie „Syn Boży“, przybrał z czasem u Słowian południowych znaczenie „świąt Bożego Narodzenia“.

A i u nas musiał „Bożyc“ mieć także i to znaczenie, jak świadczy jego synonim „Bożak“, o którym teraz wypada nam pomówić.

Pochodzenie od ojca wyrażaliśmy niegdyś nie tylko zapomocą przyrostka — *ic*, lecz także zapomocą przyrostka — *(i)ak*, skąd po dziś dzień nazwiska rodowe, jak Matusiak, Stasiak, Szymoniak, Jacak, Walczak i t. p., oznaczające pierwotnie „syn Matusa, Stasia, Szymona, Jacaka, Walka (Walentego)“. Z tej przyczyny powinniśmy mieć w staropolszczyźnie nie tylko formy „Bożyc“, ale także formę „Bożak“ w tem



samem znaczeniu, t. j. w znaczeniu „Syn Boży”. Staropolszczyzna, o ile przynajmniej mnie wiadomo, formy „Bożak” nie zapisała, ale że ją niegdyś posiadała, dowodem Kaszubowie i Mazurzy pruscy, którzy w swej mowie wyraz *bożak* dotąd zachowali w znaczeniu „datku, jaki daje się sługom, gdy się ich godzi do służby”<sup>1)</sup>).

Czyżby *bożak* ten był wyrazem identycznym z \*„Bożakiem”, nazwą Syna Bożego?

Tak jest rzeczywiście, jak to z łatwością pojmiemy, skoro tylko przypuścimy, że wyraz „Bożak” w znaczeniu „Syna Bożego” był niegdyś u nas zarazem nazwą świąt Bożego Narodzenia, które, jak wiadomo, rozpoczynały dawniej chrześcijański „nowy rok” i były czasem, w którym słudzy zawierali umowy służbowe na rok następny, otrzymując przy tej sposobności „zadatek”. Z powodu zbyt wielkiego święta, jakim był zawsze i jest dzień Bożego Narodzenia, zawierano umowy te zazwyczaj dopiero w dzień św. Szczepana, skąd urosło przysłowie: „Na św. Szczepan sługa sobie pan”. Od tego godzenia sług w święta Bożego Narodzenia przezwano je też „Świątami Godnemi”, krócej „Godami”, datek zaś, który sługa jako „zadatek” otrzymywał przy zgodzie i otrzymuje niekiedy dzisiaj jeszcze, zwał się przed wiekami i dzisiaj jeszcze zowie *kolędą*, a dlatego—wiadomo. Zwał się tak, gdyż otrzymywano go „na *kolędę*”, t. j. na Boże Narodzenie, które, jak już zaznaczyliśmy wyżej, rozpoczynało niegdyś nowy rok i miesiąc kościelny, a po łacinie początek każdego nowego miesiąca zwał się *calendae*. Z różnych „kalend” miesięcznych te noworoczne, które niegdyś schodziły się, jak już wiemy, z Bożym Narodzeniem, były dla wszystkich najważniejsze, w szczególności zaś dla służby, i z ich to nazwy rzymskiej powstał nasz i wogóle słowiański wyraz *kolęda*. To, co otrzymało się na kalendy noworoczne czyli „na *kolędę*” po zawarciu umowy, było zadatkiem służbowym, ale dopóki przez *kolędę* rozumiano czas Bożego Narodzenia i Nowego Roku, rozumiano dobrze, że to „zadatek służbowy, otrzymany na kalendy noworoczne”; kiedy jednak z czasem *kolęda* utraciła prawie zupełnie znaczenie czasu, wyrażenie „otrzymać coś na *kolędę*” przybrało

znaczenie „zadatku służbowego wogóle”, zwłaszcza jednak w dzień św. Szczepana otrzymanego, gdyż wciąż jeszcze służba koło tego czasu zawierała umowy<sup>1)</sup>).

Otóż jeżeli sobie teraz wyobrazimy, że Boże Narodzenie zowie się u nas \**Bożakiem*, jak u Słowian południowych *Bożycem*, to rozumiemy odrazu, że zamiast wyrażenia: „sługa to a to otrzymał na *kolędę*” musiały się pojawić zwroty: „sługa to a to otrzymał na \**Bożak*”. I dopóki Boże narodzenie czyli Gody nazywano \**Bożakiem*, rozumiano dobrze, że otrzymać coś „na \**Bożak*” znaczyło „otrzymać coś na Boże Narodzenie, na Gody, na *kolędę*”; — gdy jednak z czasem Boże Narodzenie zaprzestano nazywać \*„Bożakiem”, odtąd wyrażenie: „otrzymać coś na \*„Bożak”, wyrażenie, które się już utarło i dalej utrzymało, mogło zachować tylko znaczenie „otrzymać coś na *kolędę*, na *zadatek*”.

I oto podług nas geneza kaszubskiego i mazurskiego *bożaka*, która dowodzi, żeśmy niegdyś Syna Bożego nazywali nie tylko „Bożycem”, ale także \**Bożakiem*, że \**Bożakiem* nazywaliśmy niegdyś również Boże Narodzenie, podobnie jak południowi Słowianie—*Bożycem*.

U Słoweńców *bożak* znaczy tyle, co „cent, grosz, halerz”; poszło to widocznie stąd, że na dawnych, tak zwanych krajcarach, było wyobrażenie krzyża (skąd nazwa niemiecka *Kreuzer*), symbol „Syna Bożego”, a więc \**Bożak*, z czego się okazuje, że i południowi Słowianie mówili niegdyś o Synu Bożym nie tylko „Bożyc”, lecz także \**Bożak*. Ponieważ takie pieniążki ze znakiem krzyża, zwane *bożakami*, noszono na szyi jako talizmany, amulety, chroniące przed złem, stąd Chorwatów *bożak* oznacza „talizman, amulet”.

U Bułgarów i Serbo-chorwatów *bożak* oznacza także „żebraka, dziada”, dlatego niezawodnie, że żebrak żyje podług wyobrażeń ludowych z łaski i opatrności Bożej, pozostaje pod szczególniejszą opieką Bożą i niejako *par excellence* należy do Boga, jest *bożakiem*.

<sup>1)</sup> Podobnie pieśni religijne, śpiewane w czasie *kolend*, otrzymały nazwę *kolędnych*, krócej *kolęd*; podobne i inne datki, dawane i otrzymywane w czasie tych *kolend*, zowią się *kolędami*.

<sup>2)</sup> Prace filologiczne, III, 364.





C. R.

## Z Krakowa do Budapesztu.

1)

Wyruszą z Krakowa w połowie kwietnia, kierując się ku Śpizowi, a więc zbaczając na wschód. Niepewna pogoda dała mi się we znaki po nagłym oziębieniu w drugim dniu wycieczki. Calutki dzień nieprzebrane czeluście niebieskie drobnym posypem ścielą bez ustanku puszyste warstwy. Przez dwa dni idę Galicyą wśród zaśnieżonych, zupełnie jak w zimie, pól i wzgórz. Poziom staje się coraz bardziej falisty. Drugiego dnia przekroczywszy Rabę, dostaję się między wzgórz, 500 metrów wyniesione nad poziom morza, o stokach bardziej spadzistych, niż dotychczasowe.

Wsie poczynają przybierać wygląd odmienny od położonych w okolicy Krakowa i poczynają się rozciągać, rozwlekać. Zagrody są tak rozsypane, oddalone od siebie, że nie wiadomo, gdzie się jedna wieś kończy a druga zaczyna. Zmieniają się też typy ludowe. Uderzają wędrowca z innej części Polski silne zarysy nosa i krych, idących od nosa ku brodzie, prosty kąt twarzowy, niewysunięte szczęki. Często spotyka się wysokie czoła i silnie rozwinięte czaszki. Gospodarstwa ubogie, nader ubogie; od 20 do 10 mórg—to niezwykle, ledwie spotykane bogactwo w tych stronach. Najczęściej się trafia po 5, bardzo często mniej jeszcze, aż do 1/2 morga, nie mówiąc o bezrolnych. To też mnóstwo ludzi rusza przed wiosną do Prus, wyjeżdża za morza. Starsi zostają w chałupach, bezradnie tłukąc się z kąta w kąt. A mimo to ubóstwo, mimo ten nieodstępny głodowy niedostatek, przyjmuje chłop podróżnego ze szczerą gościnnością, traktuje z wielką sumiennością. Prawie zawsze, ilekroć dawałem za jajka lub mleko więcej, niż się ich zdaniem należało, zwracano mi w tych ubogich chacinach nadatek.

W Starym Sączu, Piwnicznej i w innych miasteczkach zwracają na się uwagę charakterystyczne, dawnej budowy domy. Nawet bardzo małe wśród nich, o jednym czołowym okienku, mają bramę z sienią lub drzwi szerokie na podobieństwo bramy. Na dachach, co wyróżnia i wsie okoliczne, po dwa malutkie okienka, blisko siebie ze środka strzechy wyglądające, jakby para zaklętych oczu w świat daleki wpatrzonych. Dachy miejskie kryte drewnianymi gontami. Na szczytach niektórych domostw wyrastają gałki barokowe, ze zdobnych,

pysznych urn uproszczone w paki, lub poprostu kule na krótkiej osadzie.

W Starym Sączu jałem rysować jeden z takich domów. Wkrótce ni stąd ni zowąd podchodzi dwóch strażników miejskich i wsadzają nosy w rysunek. Po chwili jeden z nich orzeka, że „z tego nic nie można się wyznać“, lecz drugi, śnać roztrośniejszy, stwierdza, że to nic innego, jak dom z przeciwka. Poczem tonem pojednawczym rzecze: „Przepraszam pana, ale do maistratu donieśli, że tu są dwa śpiegi z Prus“. Było nas dwóch, bom do granicy węgierskiej wędrowałem z towarzyszem. Przekonawszy się, że rysuję tylko niewinny domek i przyjrawszy się legitymacyom, których nawet nie żądali, oddalili się uspokojeni.

Ocieram się teraz o zachodnią krawędź Pienin. W Nowym Sączu dotarłem do Dunajca, dopływu Wisły, a w Starym wkroczyłem w dolinę dopływu Dunajca — Popradu. Kroczę więc ważnym szlakiem dziejowym. Doliną tą, głębokim wylomem w Karpatach, parł ruch kupiecki ku Bałtykowi za czasów rzymskich jeszcze. Tędy też w średnich wiekach wiodła ważna droga handlowa ze wschodu na miasta spiskie, na Kraków—do Gdańska. Tą doliną sięgała kultura Krakowa i Polski całej na Węgry i odwrotnie — wpływy węgierskie do Polski. Tędy to przed dwomasem z górą laty z Sobieskim na czele wracało dumnie groźne rycerstwo nasze ze zwycięstw pod Wiedniem i Ostrzygomiem. Tędy poprzez czaty austriackie przekradała się młodzież polska na pomoc Węgom w 1848 roku. Tędy suną dziś zastępy polskich nędzarzy pokornie prosić o pracę na węgierskiej ziemi.

Szóstego dnia wczesnym rankiem przekroczyłem granicę, wszedłem na Śpiz. W pierwszej zaraz wsi, Pilchowie, zagadnąłem chłopów, zajętych kopaniem rowów przydrożnych. W ciągu rozmowy ci ludzie, pokorni, dobrotliwi, że aż żal, tak mię o sobie objaśnili: „my się tu nazywamy Słowiakami, a jak pójdziemy do Polski, to nas przezywają Ruśniakami“. W mowie ich dźwięczała radość, że się ktoś nimi zajmuje, o nich pyta, i to rodzinnym językiem, i marotność jakaś zarazem — może, że tacy są „nie wiada jacy“, bezdomni, bezojczyźniani. W chatach podobnie odpowiadano: „My tu ta-



DOMY PRZY UL. SENATORSKIEJ W KAZIMIERZU, POW. PUŁAWSKI.

*Źródło: z zb. Pol. Tow. Krajozn.*

kie Słowioki, my już po węgierskiej stronie". Nie wszyscy w Pilchowie mówią czysto po polsku, tu bowiem właśnie żywił polski styka się z ruskim. Rusini ci, zwani „łemkami" od wyrazu „łem" używanego w znaczeniu „tylko", pochodzą z Białych Rusinów. Sprowadził ich na Śpiż książę Koryatowicz w końcu XIV wieku. Z czasem upodobnili się do sąsiednich Rusinów, lecz dotychczas pozostały podobno w ich gwarze ślady białoruszczyzny. W Pilchowie mieszkają wiele wyrazów i zwrotów polskich. Z jednym z nich, co prawda na pół Polakiem, i z języka i poniekąd z uczucia, niejakim Jurkiem Fiedorakiem, rozmawiałem dłużej. Mówił po polsku, ale np. zamiast „po tę brzozę" użył „po tu brzozu". Za naszego panowania na Śpiżu garnęli się do polskość i polszczyli i „łemki" i, w większej jeszcze mierze—Sasi spiscy, a zapewne i Słowacy. Miałem wielokrotnie na Górnych Węgrzech sposobność stwierdzić, jak silnie na lud, na nieoświeconych, prostych ludzi działają objawy namacalne, widoczne, jaskrawe. Ta granica państwowa wytworzyła i utrwała w nich pogląd, jakoby po tamtej stro-

nie już byli inni ludzie, niż po tej — choć przecież często stykają się z galicyjskimi góralami. Jeszcze w Galicyi, pod Piwniczną spotkałem Śpiżaka, podążającego na noc do domu. Mówił najczystsza polszczyzną. Zapytałem, za kogo się podają do spisów ludności. „My już po węgierskiej stronie, to my już nie Polacy, musimy się podawać za Węgrów" odpowiedział. Ci „Węgrole" z łaski komisarzy spisowych widnieją w spisach niezawodnie nie jako Węgrzy, lecz jako Słowacy. Inny góral, spotkany w dalszej drodze, zgodził się ostatecznie, choć nie od razu i nie stanowczo, że jest Polak „Tak już mówimy z urodzenia, ale uczymy się po słowieńsku, to się czasem „pomyli" objaśniał. „A po madziarsku uczą was"?— „Po madziarsku nauczy się dzieciak czytać, ale nic nie rozumie". Lud tu na samem pograniczu bardzo ubogi: strome góry nie przynoszą obfitych plonów. Kilku czerpie pewien zysk z piękności i zdrowotności położenia swej wsi, przybywa bowiem tutaj co rok na letnie mieszkanie kilka rodzin z Galicyi.

O jakieś 15 klm. od granicy leży zamek



## P O L S K I E.



fol. ze zb. Pol. Toio. Krajozn.

STARY DWOREK W CZELADZI, POW. BĘDZIŃSKI.

lubowelski, przebudowany i znacznie rozszerzony w roku 1555 przez Jana Bonara, kasztelana bieckiego, lecz od podwalin wzniesiony znacznie wcześniej. Przed trzydziestu laty nabył go wraz z przyległościami od węgierskiej rodziny Rajszów hr. Zamoyski z Podzamcza siedleckiego. Rozległe zamczysko dotąd niezgorzej się zachowało, acz wali się powoli w gruzy. Przed dwunastu laty runął prawie cały zewnętrzny mur północny. Kilka dni przed moimi odwiedzinami opadł kawał sklepienia wchodu do wieży. Korzenie drzewin i krzewów, rozsiadłych po murach, przyspieszają ten niszczycielski przebieg. W jednej z opustoszałych sal wiszą następujące polskie podobizny: Jana Kazimierza, który tu się schronił, gdy najazd szwedzki zalał ojczyznę, Michała Korybuta oraz trzech Lubomirskich, którzy zamkiem jako starostowie władali; nadto — trzy podobizny austriackich panujących i kilka innych obrazów. W oddzielnie stojącej kaplicy zamkowej — obraz Matki Boskiej, gniotącej smoka o 7 głowach; a głowy te to: Atheismus, najstraszniejsza, zionąca ognistym napisem „Non

est Deus“, Impietas, Gentilitas, Haeresis, Mahometanismus, Judaismus i Machiavel. Służą u Zamoyskiego, do którego należy cały folwark pod Lubowlą, prawie sami Polacy z Galicyi. Z jednym z nich rozmawiałem o tutejszym ludzie. Oznajmił mi, że „to Słowioki, ino inne, niż tam za Wadowicami, podle Śląska“.

Ludność miasteczka Lubowli, leżącego naprzeciw zamku po drugiej stronie Popradu, mówi też po polsku, lecz również uważa się za słowacką, zwłaszcza rzemieślnicy, wogóle oświeceni, wybitniejsi. Domy tutejsze kropla w kroplę takie, jak w Starym Sączu, w Piwnicznej — z szerokimi drzwiami i okienkami, patrzącymi ze strzech. I będę widział podobne domki we wszystkich miasteczkach spiskich, tylko często ozdobniejsze, bardziej wyszukane.

O 4 klm. za Lubowlą leży następne miasteczko — Gniazdo. Tu już obok mówiących po polsku mieszka trochę Niemców, atoli władających jako tako językiem polskim. Oto zapisane urywki z rozmowy w karczmie gnieździeńskiej: „Trzeba dziurę wywiertać“ — „Z czem beczkę otwieracie?“ — „My mamy taką be-



czkę, co się z wirchu otwiera“ — „Ten tabak w zielonym papiru nie wart ani... — „Jak chcesz, to ci przyniesę“. Więc np. w jednym miejscu jest „rz“, w innym samo „r“. Wogóle mieszają się tu te mowy, zmieniają w ustach omal że każdego. Używają stale nie „wieś“ tylko „dziedzina“, nie „zapalki“ tylko „śwabliki“, nie „wódka“ tylko ze słowackiego „palenka“, nie „pan“ ani „wy“ tylko „oni“, nie „w tygodniu“ tylko „w tyżniu“. Ale to wszystko słyszy się już na Podhalu.

Za Lubowłą zaczynają się zamożniejsze gospodarstwa; gleba żyzna, ilasta, stoki łagodnieją. W służbie przy roli przebywa w Gnieździe i okolicy bardzo wielu Galicyan. Zapytałem jednego, w wieku lat dwudziestu kilku, jak długo bawi na Śpiżu. „Mało będzie chybiało do dwadcać roki“ — odpowiedział. Innego, z pod Tarnowa, tutaj już ożenionego, usiłowałem przekonać, że polski a słowacki język różne są, choć podobne. Daremnie. W kółko mi opowiadał, jakie to tu są w użyciu „rzeczy“: „niemiecka, ruśniacka, słowieńska, no i jeszcze madziarska rzecz“. Odpierał zaś moje tłumaczenia słowy: „po polsku czy po słowieńsku, to szyćko jedno“. Ludność tutejsza nie znalazłaby słowaczyny, gdyby przedewszystkiem nie kościół i księża, a potrosze szkoła. W kościele w Lubowli nabożeństwo dodatkowe odprawia się wyłącznie po słowacku. A w dalszych majątkach spiskich: Gnieździe, Podolińcu, Kiezmarmku — przez trzy niedziele po niemiecku — w jedną po słowacku. Z naszego stanowiska narodowego bezwarunkowo lepiej, że istnieje taka różnorodność językowa na północnym Śpiżu, bo działają na Polaka rozmaite wpływy, a żaden nie zdolen zapanować niepodzielnie. Natomiast niepomyślną okolicznością jest to, że słowaczyna taka jest bliska naszemu językowi, najbardziej bowiem pokonywa wrodzoną mowę zarówno tubylczych, jak napływowych Polaków.

Istnieje wiele węzłów między Śpiżem a Galicyą. Zetknąłem się w Gnieździe z chłopami galicyjskimi, przybyłymi po barany do rozpłodu. Przyjeżdżają też po wyborną pszenicę tutejszą i po groch do zasiewu. W Podolińcu

spotkałem sklepowego w sklepie korzennym, który praktykę zawodową odbył w Tarnowie. Chadzają do Galicyi Śpiżacy z pogranicza na odpusty i jarmarki. Szczególnie słyną odpusty w Kalwaryi. Lecz przedewszystkiem ludność galicyjska napływa na Śpiż i głębiej na Węgry po pracę i ziemię. Zaludnienie bowiem Górnych Węgier rzadsze jest niż Podhala; ziemia Śpiża, za wyjątkiem pewnych miejsc, i Szarysza urodzajne; gospodarstwa duże. Przytem trwa, co prawda mające się bodaj ku końcowi, rozpoczęte mniej więcej przed 30 laty wychodźstwo tutejszych Niemców, rolników mieszczan do Ameryki. Wychodzi też z tego żywiołu wiele inteligencji węgierskiej. Wobec tego wciąż trwa silna podaż ziemi i ceny spadają nisko. Natomiast w Galicyi ludność gęstsza, a niema rąk o co zaczepić: ani ta, co tylko siłą roboczą rozporządza — na cudzem; ani ta, co ma nadto uciulane grosiwo — nawet na własnym, bo ziemia droga, a i tej drogiej trudno dostać. To też wszędzie znajdzie się na Śpiżu Galicyan, to jako parobków, pastuchów, to osadników na własnym, to wreszcie, co już niezmiernie rzadko, jako sklepikarzy, karczmarzów, młynarzów. Ruch osadniczy słabnie w ostatnich latach.

W drodze z Gniazda do Podolińca spotkałem starą kobiecinę z pobocznej wsi, Laczkowy, nazwiskiem Galicka. „Któż tam u was we wsi, Słowacy czy...?“ — „Hej, hej, Słowiacy; my tu tak gwarzyma, jak teraz“, — „No to wy po polsku mówicie, wy Polacy“ — „My tu takie mieszaniki — i Polacy i Słowiacy, i po niemiecku gwarzyma“ — „Bóg z wami!“ — „Boże prowadź!“ Zbliżywszy się do przydrożnych Drużbak Dolnych, pytam orzącego parobka: „Wy z Drużbak?“ — „Hej“ — „Kto tam w Drużbakach siedzi, Polacy czy Słowacy?“ — „No Słowiacy“ — „A przecież po polsku mówicie“ — „My tak rozprawiamy ni po polsku, ni po słowieńsku“ — „Wszak słyszę, toć całkiem po polsku rozprawiasz“. — „Ale my nie tak rozprawiamy, jak tam w Polsce: uoo...“ — „Daleko stąd do Drużbak?“ — „Eszcze pół godziny“.

C. D. N.





R. Mienicki.

## Z przeszłości województwa połockiego. <sup>4)</sup> (dok.).

Znacznego rozgłosu nabrali Żabowie, fundując w miasteczku swem, Uszaczu roku Pańskiego 1716, kościół drewniany, osadzając przy nim oo. dominikanów, którzy tu przez czas dłuższy utrzymywali szkołę, dokąd uczęszczała szlachecka młodź okoliczna. Fundacją swoją Żabowie i nadal opiekowali się: Franciszko-wa Żabina po 45 latach wprowadziła tu nabożeństwa do Serca Jezusowego, nader solennie obchodzone, a mąż jej wystarał się dla miasteczka o przywilej królewski, nadający mu prawo magdeburskie wraz z jarmarkami.

Obok pobożnych fundacji i trosk o rozwój poszczególnych komórek organizmu Rzpltej wy-rastały na gruncie połockim i spory zawzięte i dłu-goletnie procesy: przez lata całe prawują się ba-zylianie połoccy z urodzonymi Hercykami o gra-nice — chodziło przecież o duży szmat ziemi, o jeziora i lasy na rubieży hercykowskiej mają-tności: Apanasowicz, Czykowszczyzny i Łuciek z Czerstwiatami, aż sejm zajął się tą kwestyą i w r. 1775 odesłał ją do sądu marszałkow-skiego — Mikołaja Chrapowickiego, marszałka oszmiańskiego z komisarzami z pomiędzy ziemian miejscowych. To znowuż Józef Korsak, woj-ski połocki, ma zatarg także graniczny z po-łockimi franciszkanami; starosta rzeczycki Józef Judycki z karmelitami głębockimi i Stani-sławem Hrebnickim, pisarzem grodzkim połoc-kim o też same powody; z tymiż karmelitami wiódł spór zawzięty podkomorzy połocki Anto-ni Despot-Zienowicz. Podobny szereg można by było przedłużyć bardzo daleko, dałoby to przecież niewłaściwe, zbyt jednostronne oświe-tlenie życia nad Dźwiną w owych czasach, a pa-miętać należy, że zajazdy, procesy, spory i kłótnie rozpościerały się tak samo dobrze tam, jak nad Niemnem, czy Wisłą, i że zaró-wno tam, jak i gdzieindziej, tworzyły bardziej ja-skrawe, bardziej rzucające się w oczy piętno na tle życia zbiorowego, piętno, które trzeba oceniać, zestawiając je z innymi przejawami i ce-chami tego życia. Ale stwierdzić trzeba, że szlachta połocka w w. XVIII nie odznaczała się oświeceniem; raczej, rzecz można, że ciemna była; sztuka czytania, a zwłaszcza pi-sania była tu kunsztem znanym nie wszystkim, więc na instrukcyach sejmikowych kładło się niezgrabne krzyżyki przeważnie; nie sądzmy

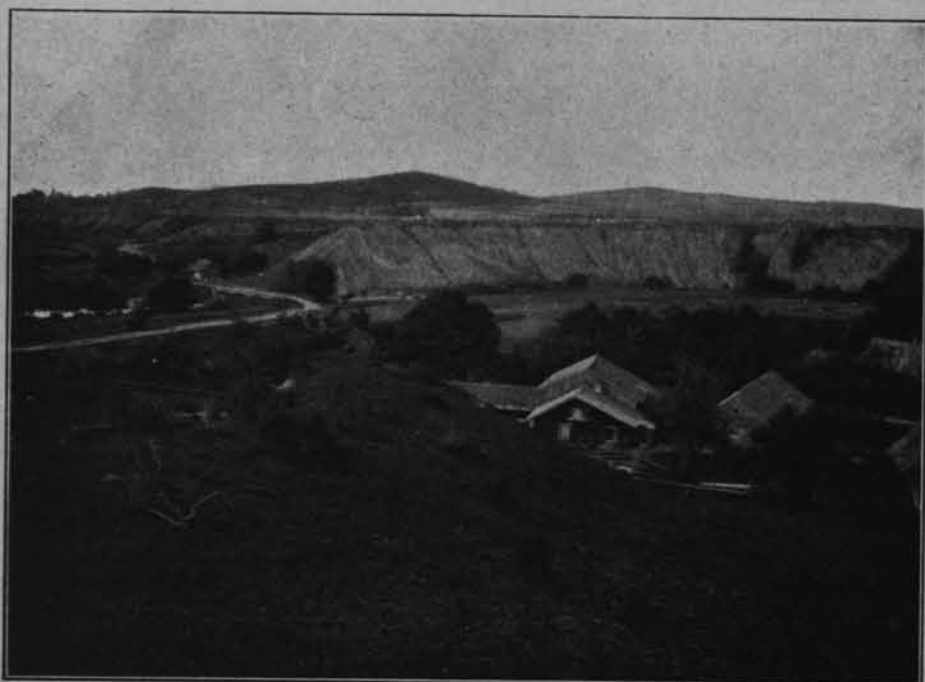
przecież ani na chwilę, żeby kwestye polity-czne były dla niej obce, czy obojętne, iżby de publicis nie miała wiedzieć, mówić, krzyceć i stanowić; okazywała ogromny konserwatyzm, przedewszystkiem w kwestyi włościańskiej — i temu konserwatyzmowi nadała cechę za-chłanności: „żadnych zmian!“ — to było jej ha-sło w tej sprawie. W takim duchu podykto-wała instrukcję posłom na sejm czteroletni.

Dużo tu zawsze siedziało szlachty prosta-czej, chodaczkowej, rozrzuconej po zaścian-kach, prawie nie różniącej się od chłopstwa, co się czasem rozzuchwalało nad miarę, zre-sztą bodaj że tylko w samym starostwie po-łockiem; tu w połowie w. XVIII chłopci legity-mowali się jakimiś uzurpowanymi przywilejami, na mocy których wzbranieli się płacić daniny, czynszów, wzbranieli się pełnić roboczną, skutkiem czego starostowie nie mogli nawet kwarty składać, nie stać ich było na to. Istotnie egzystowały tu jakieś ulgi, które przysłu-giwały tylko w pewnej mierze i tylko niektórym; samowola nie omieszkała rozszerzyć ich granic; coś bardzo podobnego spotykamy naonczas i w słonimskim starostwie. Jak tam, tak i tu wyznaczano specjalnych komisantów, co mieli sprawę na miejscu zbadać i tych, co się dopu-ścili wykroczenia, zmusić do zadosyćuczynienia obowiązkom służebnym. Gdyby zaś pospółstwo wykazało krnąbrność, gdyby nieposłuszeństwem zignorowało prawne nakazy — „tedy za rekwizy-cyą dzierżawców komisya wojskowa ludzi woj-skowych dla nakłonienia pomienionego zbunto-wanego poddaństwa podług potrzeby do-dać ma“.

Działo się to na kilka lat zaledwo przed pierwszym rozbiorem, kiedy województwo mia-ło posiadać około 1000 mil kwadr., granicząc na północy z ziemiami cesarstwa rosyjskiego, na południu z dużem województwem mińskim, tuż za Czereją i Leplem, na zachodzie z In-flantami polskimi i województwem wileńskim, na wschodzie z Witebskiem. Pierwszy rozbiór radykalnie zmienił całą figurę województwa, odcinając większą część jego, t. j. północną, aż do Dźwiny, a więc i Połock, którego mniej-sza zaledwo dzielnica, tonąca w wiecznem ba-gnie, zażydzona do nec plus ultra, z kościołem i klasztorem bernardyńskim, przeglądającym się



## Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



JAR WISŁOKA, MIĘDZY GŁĘBOKIEM A SIENIAWĄ, POW. SANOCKI.

fol. A. Meisner.

w nurtach objającej się o jego mury rzeki, ostała się przy Polsce. Pozostałe przy Rzpltej, zredukowane do nader skromnych rozmiarów województwo połockie zachowało przecież bardziej zaludnione punkty i miejscowości; pozostały dawne twierdze, choć bez znaczenia fortyfikacyjnego, zostały liczne, choć przeważnie małe i liche miasteczka, została żyzniejsza gleba, ale strata centrum była bardzo dotkliwa dla całego życia północnej ziemi. Połock, dotychczas prawie środkowy punkt, stolicę województwa, obecnie ujrano na samym krańcu zdefigurowanego terytorium; zresztą ta jego pozostała przy państwie polskim część lichy się prezentowała i grzęzła w błocie, za przykładem wielu miast Rzpltej, nie wyłączając pewnych dzielnic owoczesnej Warszawy; wobec tego mały Połock nie kwalifikował się na miejsce do zebrań sejmikowych i wogóle publicznych zjazdów; trzeba było szukać jakiegoś nowego powiatu. Upatrzone nasamprzód Lepel. Wybór był zgola nietrafny: Lepel leżał na południowym krańcu województwa. Z pod Połocka, a tembardziej z pod Dżisny, musiał szlachcic jechać po okrutnej drodze jakieś 10—15 mil, przebywając w bród albo t. zw. „promem“ małe rzeczki. Przytem Lepel nie posiadał ani budynków, ani wogóle odpowiednich warunków dla tłumnych zjazdów, więc szlachta połocka przeniosła punkt ciężkości publicznego życia do Uszacza, już wspomnianego starego

miasteczka, o którym wie Pacholowiecki, a które należało naonczas do mińskiej wojewodiny, Żabiny.

Żabowie u schyłku Rzpltej odegrywali tu znaczną rolę, choć nie zawsze dodatnią, w duchu obywatelskiej cnoty. Rozmnożyli się i rozwieliźnili tutaj jak w Nowogrodzkiem, Mścislawskim, Smoleńskim i Witebskiem. Kasztelan połocki, Waleryan Antoni Żaba pozostawił opinię wybornego mówcy. Tadeusz Żaba, ostatni wojewoda połocki, innymi

rysami zaznaczył swą egzystencję, innemi cechami dosłużył się innej pamięci: to najgłośniejszy z Żabów — „nie sławny cnotą, patryotyzmem, charakterem, zacnością, tylko dzikością swoją“ mówi o nim Julian Bartoszewicz, „Żaba był starostą kaniowskim Litwy. Okrutny, dumny, niewyrozumiały, co polecił, być musiało. Oporu woli swojej nie znosił, chociażby ubliżyć przyszło i prawu“. Przypomina on nawet Dyabła Łańcuckiego, naturalnie w miniaturze, najbardziej zbliża się do typu s-ty kaniowskiego, co to witał przychodzących doń „z duszą na ramieniu“ kredytorów okrutnym nahajem, przewzanym pieszczotliwie „Timor Domini, alias piórko“.

Pieśń ludowa smętnie wywodziła o brzydkich postępkach „pożeracza szlachty“, o którym tułają się jeszcze i dziś ustne opowieści.

Gdy kasowano zakon jezuitów, dobra ich przeznaczone na rzecz Komisji edukacyjnej; według spisu z r. 1781 były to majątności: Ekiwania (z intratą 7,000 zł.), Ihumenów (9,800 zł.), Iwańsk (9,500 zł.), Kazimierzów (2,800 zł.), Kuchonie (2,600 zł.), Międzyzycie (3,700 zł.), Mosarz (10,000 zł.), Turowla (6,000 zł.), Wieżyszczce (1,000 zł.), Zahacie (7,600 zł.). W tym czasie jeszcze Uszacz stanowił wciąż centrum, ale to stanowisko zachował tylko do sejmu wielkiego, bo już w r. 1791 jako miejsce dla sejmików wyznaczono Czaszniki. Tu miała się szlachta gromadzić w okazałym kościele domi-



nikańskim, stąd miała słać dwu posłów. Naturalnie i Czaszniki, jak przedtem Lepel, stanowiły punkt niedogodny; nie wiemy, dla jakich powodów Uszacz zdegradowano. Wszyscy rychło ocenili niedogodność Czasznik, przeto na tym-

że sejmie zaznaczono, iż na pierwszym sejmiku należy wyznaczyć koniecznie inny, stosowniejszy punkt.

Wobec rychłych wypadków było to już zbyt czyste...



## Listy do Redakcyi.

### I.

W № 7 r. b. „Ziemia” wydrukowała moje sprawozdanie o atlasikach, wydanych przez p. J. M. Bazewicza. W № 13 spotykam odpowiedź p. B., usiłującego dowieść, że nie mam słuszności.

Niestety, odpowiedź p. B. nie zmieniła mojego poglądu, a zasadniczo muszę trwać przy twierdzeniu, że w sprawach wydawniczych dobre chęci są rzeczą pożądaną i chwalebną, jednakże nie zawsze wystarczają.

*Antoni Sujkowski.*

### II.

Z powodu artykułu „Gostyniński czy Gostyniński” w № 14 „Ziemi” zaznaczam, że od rzeczowników zakończonych na *in (yn)* tworzono dawniej zwykle przymiotniki, wyrzucając owo *in (yn)*. W ten sposób powstało: od Gostynin — gostyniński, od Drohiczyn — drohicki, od Lublin — lub(e)lski, od Szczebrzeszyn — szczebrzeski (szkoly szczebrzeskie, konfederacya szczebrzeska). Podobne zjawisko znikania sufiksu *in* widzimy w szeregu przymiotników odpowiednich rzeczownikom: poganin, arianin, amerykańnin, (wielko)polanin, rusin (tylko: *ruski; rusiński*) — tyleż warto co „noworadomski” lub „gostyniński”).

*O. L.*

oooooooo

## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



rzędu za ubiegły

We środę d. 9 b. m. w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się miesięczne zebranie Pol. Tow. Krajoznawczego pod przewodnictwem wiceprezesa M. Wisznickiego, który zdał sprawę z czynności Zarządu za ubiegły miesiąc. Z powodu nieprzyjęcia

mandatów przez paru nowoobраниch członków — do Zarządu w charakterze zastępców weszli: dr. L. Brenneisen, który objął sekretaryat, i p. T. Koszutski (gospodarz lokalu). Nowych członków w ubiegłym miesiącu na liście Centrali zapisało się 97. Członkami-korespondentami zaś mianowano: p. A. Taubego z Górnej (p. Orsza, gub. mohilewska), p. Floryana Skarzyńskiego z Bender (p. Olita, gub. wileńska), p. L. Andrzejewskiego w Syrajciach (p. Telsze, gub. kowieńska) i p. L. Wykowskiego z Anielina (p. Święckopole, g. mohilewska).

Odczyt „O Polesiu”, ilustrowany przezrocza-mi, wygłosił prezes K. Kulwiec, zaś wiceprezes Al. Janowski zapowiedział szereg wycieczek na kwiecień i maj.

Zebranie miesięczne majowe odbędzie się 14 maja.

Komisya wycieczkowa P. T. Kr. zapowiada następujące wycieczki wyruszające z Warszawy:

27 i 28 kwietnia do Mławy i Ciechanowa (wyjazd o 7 rano) prow. p. E. Grzeliński.

27 kwietnia o 9 rano do Raszyna, Falent i Komorowa, prow. p. T. Podkomorski.

4 maja o 9 rano do Kobylki, prow. p. J. Gebethnerówna.

6 maja o 8 rano do Marek, prow. p. T. Podkomorski.

7 maja o 5 popoł. dokończenie wycieczki dookoła Warszawy (od rog. Wolskiej do rog. Mokotowskiej), prow. p. E. Zawistowski.

10 maja do Zamościa lubelskiego. Wyjazd z Warszawy z dworca Kowelskiego o godzinie 12 w nocy, przyjazd do Lublina o 6 rano, odjazd samochodem o 9 rano — przybycie do Zamościa o 1 po południu, dnia 12 maja wyjazd o 10½ rano samochodem do Krasnegostawu, skąd końmi do Krupego i dalej do Rejowca, skąd nocnym pociągiem odjazd do Warszawy. Cena biletu — dla młodzieży — 12 rb. 50 k., dla członków Tow. Krajoznawczego — 14 rb., dla gości — 16 rb.

+ Wobec niespodziewanego oziębienia, jakie nastąpiło w połowie kwietnia i trwa dotychczas, oraz śniegów, które obficie spadły w całym niemal kraju — projektowana na koniec kwietnia wycieczka krajoznawcza z Warszawy na Polesie i do Kijowa zostaje odroczone do bardziej sprzyjającej



chwili — odbędzie się ona, z zachowaniem tego samego programu, prawdopodobnie w końcu czerwca r. b.

× Zarząd Oddziału w Zagłębiu składa podziękowanie firmie „Lempicki i S-ka” za ofiarowany Towarzystwu model przekroju studni artezyjskiej w Sosnowcu — sięgającej do głębokości 90 metrów.

× We wtorek dnia 8 b. m. odbyło się walne zgromadzenie Oddziału Suwalskiego. Obecnych osób było względnie dużo, co daje się tłumaczyć większym zainteresowaniem społeczeństwa sprawami Oddziału, który dotąd od czasu założenia znajdował się w stanie zupełnej dezorganizacji. Zebranie zagalął dotychczasowy prezes Oddziału p. St. K. Lineburg, poczem na przewodniczącego wybrano p. Z. Gąsiorowskiego, a na asesorów pp. F. Cicheckiego i Gąsowskiego.

Po odczytaniu i zatwierdzeniu sprawozdania za 1911 i 1912 r. przystąpiono do ułożenia budżetu na 1913 r. Pozycje na wynajęcie lokalu (300 rb.) i na uporządkowanie muzeum (300 rb.) wyloniły dyskusje nad wyszukiwaniem dochodowych źródeł w celu pokrycia ich. Ostatecznie budżet przewidziano w sumie 750 rb. dochodów i wydatków.

Do nowego zarządu powołano: pp. Z. Błędoskiego, Gąsowskiego, Jelską, S. Lineburga, A. Talko-Hryncewicza, T. Wyrzykowskiego i Zagórskiego — a do komisji rewizyjnej: pp. Z. Gąsiorowskiego, B. Rodziewicza i J. Wierzbickiego.

Utworzono również specjalną komisję rzeczoznawczą, która ma czuwać nad utrzymaniem muzeum na należytych poziomach. W skład komisji tej weszli pp.: P. Chrostek, F. Cichecki, M. Górnicka, M. Jaroszewiczowa, M. Jelska, Cz. Przybyszewski, A. Raykowski, H. Rodziewicz i A. Talko-Hryncewicz.

+ Działalność Oddz. Kieleckiego w kwartale I r. b. streszcza się w następujących punktach: jedno zebranie ogólne roczne, 5 posiedzeń zarządu, jedna wycieczka w murach miasta, jeden odczyt, wreszcie zajęcia muzealne.

Dnia 7 stycznia komisja rewizyjna sprawdziła rachunki i spis przedmiotów w zbiorach, poczem 19 stycznia odbyło się ogólne zebranie, na którym zdano sprawę z czynności całego roku i dokonano wyborów. Przedmiotem obrad na posiedzeniach zarządu były sprawy bieżące, jako to: zmiana lokalu na zbiory, urządzanie i przyjmowanie wycieczek, urządzanie odczytów. Lokal od 1 lipca wynajęto przy ul. Leonarda w domu rejenta Miecz. Halika. Pierwszą w tym roku wycieczkę, w granicach miasta, do browaru p. Karsza, urządzono 15 lutego z udziałem 7 osób. Następne wycieczki wiosenne skierowane będą do Radomia, Wąchocka (opactwo i cmentarzysko), Małogoszcza. Pouczającego odczytu p. Jarosl. Chelmińskiego „O telegrafii bez drutu” d. 2 marca wysłuchało z żywym zajęciem 158 osób.

Muzeum otrzymało w ciągu kwartalu, oprócz Encyklopedyi Staropolskiej od Zarządu Głównego,

25 różnych przedmiotów, między innymi 11 okazów ptaków krajowych i ciekawą, mniej znaną grupę kryształów miejscowego kalcytu. Są to dary dziełom ludzi: pp. Czarnockiego, Kalinowskiego, Czesława Kossutha, dr. Laskowskiego, Lenartowicza, Millicera, Masłowskiego, Ruszczewskiego, Sobczyka. W księdze gości, zwiedzających zbiory, otwarte codziennie, zapisało się 152 osoby. Okazy ptaków wzbudzają ogólne zainteresowanie nawet wśród znawców.

W sekcji muzealnej obok zwykłych zajęć trudniono się głównie kopiowaniem dokumentów osobistych, względnie historycznych, będących własnością Oddziału lub Oddziałowi powierzonych. Kopie jedne w odpisach, inne fotografowane, przesłano prof. Askenazemu do jego dzieła pod tytułem „Napoleon i Polacy”, do innego zaś wydawnictwa, które się ukaże w przyszłym roku nakładem Akademii, pod redakcją również prof. Askenazego, przygotowano kopię fotograficzną ważnego dokumentu historycznego, tycającego Kielc. Dokładne kopie dwu portretów (Skarzyńskiego i Hempla) i ważniejszych dowodów wykonał p. Wład. Koterski, miłośnik fotografii.

○○○○○○○○○○

#### Przebieg pogody w miesiącu marcu 1913 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. Kr.

W pierwszych trzech dniach ubiegłego marca panowała jeszcze w Królestwie rzetelna zima, bo mrozy dochodziły miejscami — 15° C., lecz potem nastąpiła odwilż i już do końca miesiąca panowała nader łagodna, chwilami bardzo piękna wiosenna pogoda. Noce wprawdzie bywały chłodne, od czasu do czasu z przymrozkami (10 do 14 razy), lecz zato dniem temperatury dosięgały niezwykłych o tej porze roku wysokości, przekraczających miejscami 20° C. dnia 22, 23 i 31 marca.

To też średnie temperatury miesięczne wypadły o 3° z górą wyższe od normy. Wahają się one od 5° C. w Kaliskim i Warszawskim do 3° C. w Suwalskiem.

Pomimo nadmiernego ciepła trwanie usłonecznienia nie wykazuje nadwyżki i wyniosło np. w Warszawie 115 godzin.

Opady były naogół umiarkowanie częste i obfite, dając przeciętnie dla całego Królestwa 29 mm. w 12—13 dniach, gdy wartości średnie z ostatnich 15 lat są 28 mm. w 12 dniach. Wszelako w poszczególnych częściach kraju występują dość znaczne różnice: dorzecza Pilicy i Narwi miały nadmiar opadów, natomiast w dole Wisły było za mało opadu, w innych zaś okolicach opady były normalne. Kilka razy padał śnieg i zaraz topniał.

Dnia 24 marca okolice Płocka i Warszawy nawiedziła silna ulewa.

Na Rusi temperatury średnie miesięczne wahają się około 4°, w miarę zaś posuwania się na



północ dosięgają na Litwie 2<sup>o</sup> i mniej, lecz i tam wszędzie są znacznie wyższe od normy. Opady w tych krajach były umiarkowane.

W początku marca Królestwo znajdowało się w dziedzinie wysokiego ciśnienia, lecz później dziedzina ta zalegała południowe części Europy, stąd w Królestwie przeważały wiatry południowe, łagodzące temperaturę. Z oceanu Atlantyckiego nadchodziły raz za razem liczne niżki barometryczne i przeciągając przez Europę północną, sprawiły u nas częste zmiany zachmurzenia. Pod koniec miesiąca znów ogarnęła Królestwo dziedzina wysokiego ciśnienia.

Niżej są zamieszczone niektóre dane ze stacji P. T. Kr.

a) Temperatura:

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 4<sup>o</sup>,5. Temp. maks. + 21<sup>o</sup>,5 dnia 23-go. Temp. minim. - 12<sup>o</sup>,4 dnia 3-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Suchedniów (p. kielecki)	26	11
Św. Krzyż	48	13
Jędrzejów	21	14
Olkusz	29	12
Wysokie (p. krasnostawski)	55	17

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 145 godz.

oooooooo

## Z piśmiennictwa.

(1) Miły i pożyteczny pomysł miała redakcja ludowego dwutygodnika dla młodzieży „Drużyny”, wydając numer, krajoznawstwu poświęcony. Składa się na niego kilka artykułów, wyjaśniających istotę krajoznawstwa i obrazujących pracę Pol. Tow. Krajoznawczego. Dwa drobne szkice: opis „Wycieczki Kruszyńianek po kraju” i „U źródeł Pilicy” świadczą, że odczucie potrzeby znajomości kraju przenikać już zaczyna do warstw, w których w tak jeszcze nieodległej przeszłości zdawało się być pojęciem obcym i martwym. To też tę popularyzację umiłowanej idei „pod strzechami” powitać należy z najwyższym uznaniem, a jako istotną pomoc w pracy — z rzetelną wdzięcznością.

oooooooo

## Nowe książki.

Wydawnictwa Tow. Miłośników Historii w Warszawie.

Wydawnictwa warszawskiego Tow. Miłośników Historii, prowadzone całkiem celowo i świadomie,

worzyć zaczynają pewną zaokrągloną całość. Składają się na nie, jak dotychczas, wyłącznie szkice poświęcone przeszłości Warszawy, a jakkolwiek prace to niejednolitego typu i nie jednakowej wartości, uboga skarbnica wiadomości o naszej stolicy wzbogacana już została kilkoma ziarnami, gromadzonemi skrzętnie, w warunkach, jak się domyślać można, niełatwych. Ogółem ukazało się niewielkich, ale schludnie i miło prezentujących się książeczek — siedem. O dwóch pierwszych: cennej pracy prof. Br. Chlebowskiego i wartościowym przyczynku p. Handesmana, zdawaliśmy już sprawę uprzednio. Od tego czasu ukazało się pięć tomików.

Dwa z nich, pióra zaszczytnie znanych i zasłużonych pracowników na niwie dziejopisarstwa polskiego, są szeroko zakreślone i świetnie zapisane kartami z dziejów kultury polskiej, rozwijającej się na gruncie warszawskim. Są to: doskonała, na najnowszych wynikach badań historycznych oparta monografia Biblioteki Żaluskich, sumiennie, z wielkim umiłowaniem tematu skreślona przez p. Ignacego Baranowskiego, i barwne, życiem drgające dzieje walki o prawa zmartwychwstającego mieszczaństwa polskiego, zogniskowane piórem p. Wład. Smoleńskiego w jasnej postaci Jana Dekerta.

„Warsowianami” czystej krwi są dwa tomiki, wydane przez niez mordowanego badacza Warszawy, p. Aleksandra Kraushara. W jednym z nich reprodukuje autor ciekawe i ważne dla historii sztuki warszawskiej „Widoki Warszawy i jej okolic” Karola Albertiego ze schyłku XVIII wieku. Część tych widoków znana była szerszej publiczności z monografii o „Towarzystwie Przyjaciół nauk” tegoż autora, gdzie figurowały wówczas jako reprodukcje akwarel nieznanego malarza nadwornego landgrafa heskiego. Późniejsze badania dopiero pozwoliły autorowi ustalić, że malarzem tym był Karol Alberti i że pochodzą one niewątpliwie z okresu po r. 1794. W wydawnictwie niniejszem znajdujemy je już w komplecie, obejmującym 26 niezwykle ciekawych gmachów i widoków pruskiej Warszawy, oraz najbliższych jej okolic. Następny tomik poświęca p. Kraushar „Typom i oryginałom warszawskim” z czasów królestwa kongresowego, reprodukowanych z akwarel Jakóba Sokolowskiego, przyjaciela i domownika Józefa Krasińskiego, znajdujących się od niedawna w zbiorach Bibl. ord. Krasińskich. W 36 lekko i odręcznie, ale z doskonałym zacięciem rzuconych szkicach przesuwają się przed oczami naszymi galerya postaci mniej czy więcej znanych, życie oddawna zamarte a tak nam jeszcze blizkie odtwarzających. Do portrecików tych, również jak do widoków Albertiego, dodał p. Kraushar zwięzłe objaśnienia, którymby chyba zarzucić można, że są zwięzłe zanadto. Znany z erudycji i umiłowania przeszłości autor niesłusznie ograniczył się do paru wierszowych wzmianek, zapominając, jak dalece wśród współczesnego pokolenia znajomość tych nieodległych chronologicznie czasów zatarta się i z dniem każdym zaciera, jak nie należałoby żałować słów, żeby ją wskrzesić i utrwalić.



Ostatnim tomikiem są „Warunki higieniczne Warszawy w wieku XVIII” znanego w tym dziale pracownika p. Franc. Giedroycia. Smutną tę pomimo zaszczytnych wysiłków marszałka Bielińskiego epokę maluje autor barwami dość czarnymi, choć nie przeczerzaniem, jak to każdemu z pobieżnego bodajby obznajomienia z dziejami naszego niechlujstwa i dość niedoleźnych w tym kierunku zabiegów wiadomo. Materiał zebrano sumiennie i obficie, choć może ugrupowany on jest nieco słabiej.

T. I.

*Jan Słomka wójt w Dzikowie. Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych, z przedmową dr. Franciszka Bujaka. Kraków 1912, str. 273.*

Niezwykle interesujący jest pamiętnik czcigodnego wójta Słomki, wydany przez prof. Bujaka. Wyrosły na żyznej glebie sandomierskiego nadwiśla Jan Słomka pod ożywczym tchnieniem galicyjskiego samorządu wyrobił się na zasłużonego obywatela, pioniera w dziedzinie gospodarki rolnej, przemysłu i handlu w swej okolicy. Przyznać trzeba, że natura nie poskąpiła panu Słomce niezwykłych zdolności. Ten człowiek umiał nie tylko działać, ale patrzeć i słuchać, i to od najmłodszych dzieciństwa. Nie tylko w jego pamięci utkwily odległe wspomnienia z lat młodzieńczych, gdy to się pasalo w gromadzie wiejskich dzieciaków pod wodzą wybranego z pośród siebie „wójta i przysięgłych”, ale również dobrze zapamiętał opowiadania starszych o czasach pańszczyznianych.

Urodzony w roku 1842 stracił Słomka wcześniej ojca i pozostał pod opieką matki, dziadka i stryja na sześciomorgowej zagrodzie. W dwunastym roku zaczął się uczyć czytać w miejscowej szkółce, zapał do nauki nie odrywał go jednak od gospodarstwa. W 15 roku rozstał się z pastwiskiem i zabrał do roboty w polu, koło domu. Zapoznał się więc dokładnie z gospodarką w tych latach, kiedy stała ona jeszcze na bardzo niskim stopniu rozwoju, gdy to blisko trzecia część ziemi leżała odłogiem, „a chłop przyzwyczajony za pańszczyznę robić z dnia na dzień”. I właśnie obraz tej przestarzałej gospodarki, odmalowany dokładnie przez wójta Słomkę, ma znaczenie pierwszorzędnego materiału historycznego, znakomicie uzupełniającego wiadomości, czerpane przez badaczy ze źródeł archiwalnych. Dobywając coraz to nowe wspomnienia ze skarbów swej pamięci pamiętnikarz odsłania przed nami nie tylko tajemnice gospodarki męzkiej, ale z równą dokładnością odmalowuje nam gospodarkę

kobiecą, o której naogół biorąc źródła nasze mówią nadzwyczaj mało. Dokładny opis domostw włościańskich, urządzeń mieszkań, strojów męzkich i kobiecych i całego sposobu życia ówczesnych włościan, wszystko to przed półwiekiem, gdy jeszcze żywa była pamięć pańszczyzny, dodaje pamiętnikowi Słomki ogromnego uroku. Dodać należy, że opowiadając o tych czasach odległych, zdobywa się pamiętnikarz na istic epicki spokój, umie mówić „sine ira et studio”.

Nie mniej ciekawe są i dalsze rozdziały pamiętnika, w których autor opowiada nam o tem, jak szedł przez życie, nie bojąc się zrywać z najbardziej zastarzałymi przesądami gospodarczymi, torując śmiało swej wsi drogę do lepszej przyszłości. Oto naprzykład koło domostwa Słomków było pole, na którym według odwiecznej tradycji rodzinnej siano zawsze tylko żyto i proso. I młody jeszcze Jan Słomka odważa się zasadzić tam kartofle. Nie odwodzi go od tego przedsięwzięcia przestroga trzymających się święcie tradycji sąsiadów, „że ani dziadek, ani ojciec stąd ziemniaków nie jadł i on nie będzie jadł”. Kartofle oczywiście powiodły się doskonale, a pamiętnikarz, jak nam wyznaje, „od tego czasu coraz mniej uważał na gadki i śmiechy ludzkie, coraz śmieiej zrywał z przesądami”, wprowadzał nowy płodozmian, zaopatrzył się w ulepszone narzędzia rolnicze, a nawet, rozumiejąc znacznie punktualności, pierwszy z włościan w całej wsi odważył się kupić zegar. Dzięki wyteżonej pracy majątek Słomki rośnie szybko, praca tylko rolna już jego energii nie zaspakaja, zakłada cegielnię, bierze się do handlu materiałami budowlanymi, wytrzymując zwycięzko walkę konkurencyjną z kupcami żydowskimi. Wybrany wójtem w rodzinnym Dzikowie brał Jan Słomka najczynniejszy udział w życiu społecznym swej gminy, współdziałał przy tych wszystkich przeobrażeniach, które wieś zachodnio-galicyjska przeżyła w drugiej połowie ubiegłego wieku, nic też dziwnego, że rozdział pamiętników, poświęcony życiu obywatelskiemu czyta się z nieslabnącem zainteresowaniem.

Kończąc niniejsze sprawozdanie o niezwyklej książce wójta Słomki, pozwolimy sobie przytoczyć dwa życzenia, które prof. Bujak wyraził w przedmowie do niej: „Najprzód, aby niniejszy Pamiętnik znalazł jak najwięcej czytelników, aby jak najwydatniej przyczynił się do zrozumienia tej głębokiej przemiany, jakiej dokonał lud wiejski, a z nim cały kraj w ciągu lat 1846—1912, powtóre, aby praca Słomki wywołała naśladownictwo w innych stronach Polski”.

Ig. Baranowski.

**TREŚĆ:** *El. Berezowska* — Antoni Andrzejowski (z 1 ryc.). *S. Matusiak* — Bożyc i Bożak. *C. R.* — Z Krakowa do Budapesztu. *R. Mienicki* — Z przeszłości województwa połockiego (dok.). Listy do Redakcyi. — Z Polsk. Tow. Krajoznawczego. — Nowe książki. — Poza tekstem: Litwini z pow. kalwaryjskiego. Stawy w Złotym Potoku, pow. częstochowski. Domy przy ul. Senatorskiej w Kazimierzu, pow. puławski. Stary dworek w Czeladzi, pow. będziński. Jar Wisłoka, między Głębokiem a Sieniawą, pow. sanocki.

Winięta tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i tamał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryk A. Moesa w Pilicy.